

Powrót do Ojczyzny w roku 1945

Sprawozdanie A. G. z Strzelec Namysłowskich.

Podczas gdy byliśmy w Pernink (miejscowości zamieszkiwanej przez Niemców wygnanych z krainy sudeckiej w górach Erzgebirge w pobliżu Karlovy Vary) przyszedł 8 maja 1945 rozkaz: Wszyscy Niemcy i inni obcokrajowcy mają w ciągu 48 godzin opuścić Pernink. Mój mąż pracował tam jako zwrotniczy i ściągnął nas tu po tym jak nas odnalazł za pośrednictwem czerwonego krzyża w marcu, ale szczęście trwało krótko. Potem musiał jechać z 20toma innymi urzędnikami do Plzeň i tak kiedy nadszedł rozkaz opuszczenia Pernink dla Niemców byliśmy znowu sami. Spakowaliśmy manatki, bez niego. Z dwoma innymi rodzinami pracowników kolei z Zabrze i Kluczborka prosiłam zawiadowcę stacji o wagon i tak opuściliśmy Bähringen. Wieczorem o 21.00 byliśmy już na Niemieckim gruncie. Zatrzymaliśmy się nieco z dala od stacji kolejowej, ale tylko przez krótki czas było spokojnie, potem przyszli złodzieje i nas obrabowali. Podobnie było w Dreźnie: ledwo rozłożyliśmy nasze rzeczy przy stacji kolejowej, a zostały skradzione. Poczekalnia była pełna porozcinanych walizek. Bez naszego dobytku nie mogliśmy jechać dalej, dlatego pojechaliśmy następnym pociągiem do obozu Freiberg i tam zostaliśmy do 8 lipca 1945.

Tego dnia do obozu przyszli urzędnicy: pocztowi i kolejarze, powiedzieli: „Kto chciałby jechać do domu i ma dowód, może jechać z nami”. Ja posiadałam dowód. Kolejarze chcieli jechać do Opola i przygotowywali do tego lokomotywę, ale Rosjanie im ją zabrali. Dopiero trzecia lokomotywa, którą naprawili kolejarze zawiozła nas do Węglińca, gdzie 14 dni staliśmy w lesie. Tam napadli nas znowu rabusie-wyrywali drzwi i zrzucali walizki z pociągu. Pewien odważny Pastor miał przy sobie broń i strzelał tak długo aż rabusie uciekli. Wrócili później by szukać pastora, ten jednak by się skryć zmienił wagon. Baliśmy się o życie, mój syn zabił rozbite okna wagonu deskami i blachami, a nocą gdy rabusie przyszli zawiązaliśmy drzwi powrozami.

Wraz ze mną jechały Pani Daliger, żona Namysłowskiego inspektora kolejowego wraz z swoją siostrą i jej 14letnim synem. W końcu nasz pociąg pojechał dalej, aż do Wrocławia-dzielnicy Brochów gdzie się zatrzymał. Musieliśmy się przesiąść bo tam tory były węższe, zostaliśmy przeładowani na pociąg z otwartymi wagonami towarowymi gdzie znowu zaczęto nas okradać. Pociąg ruszył zanim wszyscy zdążyli wsiąść, nawet nasze rzeczy były tylko częściowo załadowane. Mój syn wskoczył w ostatniej chwili na jadący pociąg. Sporo ludzi upadało na torach a rosyjscy kolejarze przeklinali na nich i ich kopali. My czyli Ci którzy pozostaliśmy na stacji pozbieraliśmy swoje rzeczy na mały wózek i pozostawiliśmy u właściciela majątku.

Teraz podążaliśmy pieszo w stronę domu: szliśmy przez 5 dni, słabi i zmęczeni dotarliśmy w końcu do Namysłowa, gdzie wszędzie widać było obce pospólstwo. Nie było co jeść. Poprzedniej nocy zrobiliśmy postój w przydrożnym rowie. Z nami szły kobiety z

wózkami-były z Kluczborka. Jedna z nich powiedziała „W strzelcach mam wujka, zostaniemy tam na noc“ ale w Strzelcach wujka już nie było. Szliśmy dalej w stronę Rychnowa, gdzie widzieliśmy Niemców na jednym z podwórz, jedna kobieta wyszła nam na przeciw i zapytała dokąd zmierzamy. Kiedy powiedziałam jej jak mam na nazwisko, powiedziała: „Znam pani męża. Rosjanie rozstrzelali w Strzelcach dużo ludzi, też pani syna, który leży w bunkrze“ Myślałam, że zaraz dostanę zawału, mówiłam tylko że to nie jest prawdą, że to nie może być prawdą. Kobieta nas zaprosiła do domu i poczęstowała zupą.

Doszliśmy do Domaszowic, tam napotkaliśmy znowu Niemców. Widzieliśmy spaloną stację kolejową, gdzie mój mąż odbywał służby. Tam donosiłam mu obiady, również Assmann, poczta i majątek były rozstrzelane. Dokąd mamy iść? Wszędzie Rosjanie i Polacy! Tego nigdy nie mogłam sobie w snach wyobrazić. W tym momencie z naprzeciwka przyszła Luzie Pocha „Skąd przyszliście? W waszym domu są Polacy, tam nie możecie iść, chodźcie do nas są tam już inni Niemcy“ Miałam łzy w oczach, kiedy weszłam do domu, pierwsze co mi powiedziano to „Wie pani już że Pani syn Martin nie żyje? W bunkrze przy Mallok w polu leżą wszyscy, Martin, Rapke i Henschel. W niedzielę o 10.00 przyszli Rosjanie z Woskowic górnych i wszędzie rozstrzelali ludzi, nam udało się uratować, ale musieliśmy im gotować i zapewnić nocleg“

Później widziałam zmarłych leżących w kartoflisku, przykrytych stalowymi drzwiami. 33 Niemców, mężczyźni i kobiety, najmłodszy Alfons Struβik 17 lat, najstarsza pani Herrmann ponad 80 lat- zostali tu niespodziewanie rozstrzelani 21 stycznia 1945. Zapisalam imiona wszystkich zastrzelonych Niemców. Wybuchłam płaczem na widok grobu, odeszłam byłam całkowicie zdruzgotana. Nie myślałam że Ojczyzna powita nas w taki sposób!

Dom pani Poscha był zamieszkanym przez 21 Niemców, spaliliśmy na podłodze. Nazajutrz próbowałam szczęścia u polskiego wójta gminy, myślałam, że mogłabym wrócić do własnego domu. Dostałam taką odpowiedź „Cholerna hołota, wychodźcie mi stąd, nie macie tu co szukać!“- do końca września musieliśmy zostać u pani Poscha i spać na podłodze, aż nawet Pani Poscha musiała opuścić swój dom, na rzecz jakiejś polskiej rodziny. Wszyscy mieszkający tam Niemcy musieli się przeprowadzić do majątku Bennecke, gdzie zostaliśmy do 26 października 1945. Tego dnia część Niemców została wywieziona, reszta została miesiąc później załadowana na wagon towarowy i również wywieziona.

9 listopada Rosjanie się wynieśli, zabrali wszystko co tylko było, nie został żaden koń, żadna krowa, żadna kura, zapomnieli zabrać tylko odrobiny zboża, które mogliśmy wymłócić. Spędziłam 8 tygodni bez jedzenia, bez chleba, marchewek, ziemniaków. Jak długo mój 16 letni syn (brat zamordowanego Martina) pracował u Rosjan , dostawał na obiad karafkę zupy i 600gram chleba czym się ze mną dzielił.

Po tym jak Rosjanie się wynieśli dostaliśmy od Polaków pokój u pszczelarza Pana Rapke, tam mieszkają przywojci Polacy, dali nam kawałek ziemi na ogródek i pracę. Dużo jednak nie zarabialiśmy, bo Polak sam nie miał dużo. W 1946 roku rosły znowu ziemniaki i zboże- mielibyśmy znowu coś do jedzenia, ale zanim wszystko dojrzało, musieliśmy znowu wszystko opuścić.

Po tym jak już wypoczęłam po stresach ubiegłej zimy, spróbowałam dostać się do Opola-Gosławic, gdzie mój syn odstawił nasze rzeczy na przechowanie. Szłam pieszo 5 dni do Opola, kiedy dotarłam do celu drzwi budynku stały otworem, a dom był pusty. Wszystkie nasze rzeczy zniknęły. Pan S. u którego mój syn odstawił nasze rzeczy, obiecał je schować w sąsiedniej wiosce w momencie gdyby wyjeżdżał do Niemiec zachodnich. Od sąsiadki dowiedziałam się, że pani S. wraz z córką chodziła w każdą środę i sobotę do Opola na targ, zabierała nasze rzeczy ze sobą i tam je sprzedawała. Więc wszystko co posiadaliśmy było tym co mieliśmy na sobie. Cała reszta została nam przez Rosjan, Polaków i również Niemców ukradziona i zrabowana.

W lutym 1946 odwiedził nas pastor Schönfeld z Kluczborka. Prosiliśmy go, by się postarał o pozwolenie polskich urzędników na to mógł prowadzić dla nas ewangelicką mszę świętą. Żyliśmy przecież jak poganie. Dostał pozwolenie, ale zanim msza w ogóle mogła się zacząć, a drzwi kościoła mogły się otworzyć, Polacy zaczęli wrzucać kamienie i brud do kościoła jak też zabili jego drzwi deskami. Weszliśmy na mszę do kościoła oknami. Ławki z kościoła zostały wyniesione przez Polaków i rzucone na łące. Kiedy w Wielkanoc szliśmy drogą do kościoła, Polacy biegli za nami z wiadrami wody i oblewali nas. Tak więc musieliśmy iść inną drogą do kościoła prowadzącą przez pola. Msza była co 14 dni, a pomiędzy naszymi mszami odbywały się msze w Woskowicach.

Nawet naszym zmarłym Polacy nie dali spokoju: pomniki zostały po przewracane, karawan został wykorzystany do wożenia gnoju, kostnice zburzono. Przeżyliśmy jak się ludzi rozstrzeliwało i rzucono na kupę jak padlinę, jak kradziono zwierzęta i okradano gospodarstwa domowe, jak płonęły domy. Straciliśmy chęć życia, powiedzieliśmy sobie, że musimy stąd uciekać. Tak więc przygotowałam się do wyjazdu w Zielone Światki 1946, ale reszta Niemców powiedziała mi „Jeśli Polacy zobaczą, że wyjeżdżamy to już nigdy nie wyniosą się z naszych domów, wtedy powiedzą że teraz nasze domy należą już do nich. Zostaniemy, aż Polaki nas siłą wypędzą!“ Więc również zostałam.

Nie trwało długo a nasze obawy stały się rzeczywistością. Polacy zwołali pozostałych jeszcze w Domaszowicach Niemców, załadowali nas o północy na wozy jak bydło i przewieźli do Namysłowa gdzie zbierano Niemców. 26 października 1946 zostaliśmy kolejny raz odtransportowani wagonami na bydło. Wyjeżdżaliśmy z Namysłowa śpiewając piosenkę "Nun ade, du mein lieb Heimatland, lieb Heimatland, ade" Potem wspomnieliśmy naszych zmarłych, których pozostawiliśmy. Z nas wszystkich którzy powróciliśmy do naszych domów w Domaszowicach w ciągu tego roku zmarło 11 osób z czego trójka została zabita przez Polaków, kolejna trójka umarła z powodu niedożywienia. Zapisalam imiona i nazwiska wszystkich tych drogich nam ludzi. Dostaliśmy się do obozu w okolicach Berlina.

Źródło: Namslauer Heimatruf Nr. 71/72, str. 7